

Wincenty Lutosławski.

BAŃKI MYDLANE

POGLĄD KRYTYCZNY

na tak zwany Satanizm nagich a pijanych dusz.



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO

1899.

759 III

Wincenty Lutosławski.

BANKI MYDLANE

POGLĄD KRYTYCZNY

na tak zwany Satanizm nagich a pijanych dusz.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
22-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
1899.

Osobne odbicie z „CZASU”.

**Biblioteka Seminarium
Hist. Lit. Polskiej U. J. P.**

8126.

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem J. Łakocińskiego.

13 326



<http://rcin.org.pl>

Z powodu najnowszych utworów S. Przybyszewskiego:

Nad morzem (Kraków 1899),
Z cyklu Wigilii (Lwów 1899) i
Dzieci szatana (Lwów 1899).

I.

Dwa lata temu Przybyszewski był prawie nieznanym, choć wtedy już kilka tomików wydał po niemiecku. Tomiki te, oddane podrzędnemu wydawcy, który potem zbankrutował, mało zwróciły uwagi na autora, choć były w swoim czasie gorąco chwalone przez kilku życzliwych krytyków.

Z tych pochwał później uwito nawet u nas dla autora wieniec rzekomej europejskiej sławy, której nigdy nie posiadał. Przypisywano mu nadzwyczajne władanie językiem niemieckim, do tego stopnia, że jakoby miał służyć za wzór Niemcom. Warto całą tę legendę dziś usunąć. Prawie każdy Polak poprawnie piszący po niemiecku ujawnia swą narodowość pewną nie zwykłą ja-

snością i śmiałością stylu — którą też pismom Przybyszewskiego przyznać można, bez upatrywania w nich arecydziel formy. Do liczniejszych kół wykształconych czytelników jego tomiki nie dotarły, trwalszych śladów w krytyce literackiej nie pozostawiły, a dopiero gdy z Berlina przeniósł się autor do Krakowa, zwrócił na siebie uwagę powszechną naszego społeczeństwa.

Nie wolno też go winić o przesadne różne pogłoski, jakie o doniosłości, a szczególnie wielkiej oryginalności jego dzieł rozsiewano. Sam Przybyszewski czasem bywa niezwykle skromnym, a wielokrotnie przyznawał, że nietylko nie uważa się za geniusza, lecz nawet wątpi o swym talencie. Jak sam się wyraża, poczytuje się za ferment działający mimowolnie, a pisze nie dla publiczności, tylko dla zaspokojenia własnej potrzeby artystycznej.

W swych powieściach niemieckich przedstawia postacie dosyć pospolite uwodzicieli, podpalaczy lub złodziei, starając się przytem im nadać jakiś urok nadzwyczajności, której czyny ich nie usprawiedliwiają. Autor jakoby wierzy w potężną siłę złego, ale nie przedstawia nam imponujących procesów społecznych, tylko zwykłych zbrodniarzy, opanowanych chorobliwą refleksją nad swymi popędami, jakiej na pewno prawdziwi słudzy Szatana by nie mieli.

Gdy znowu w postaci rozprawy obiektywnej, z pomocą wielu cytata stara się dać obraz istotnego kultu szatana, o który oskarżano czarownice, to

wprowadza mnóstwo analogij i uogólnień, niczem nieuzasadnionych, robiących wrażenie żartów i kpin z czytelnika, w chwili dobrego humoru rzuconych na papier *pour épater le bourgeois*.

Ci, co istotnie naukową metodą te sprawy badali, jak autorowie dzieła *Phantasms of the living*, opartego na wyczerpujących materiałach, zebranych przez londyńskie *Society for psychical research* — doszli do całkiem innych wniosków, nierównie prawdopodobniejszych, niż te, jakie Przybyszewski pozostawia domyślności czytelnika w swojej *Synagodze Szatana*. Okazało się, że wśród tysięcy opowiadań o nadzwyczajnych doświadczeniach czarownic, nie było nawet jednego świadectwa z pierwszej ręki.

Więc owe szabasy, które u Przybyszewskiego nabierają oniemal pozoru rzeczywistości — należą do rzędu bajek o wężu morskim, powtarzanych z tem większą stanowczością, im mniej miano pewnych podstaw dla ich przyjęcia.

Nic dziwnego, że artysta, jakim jest Przybyszewski, żyjący przeważnie życiem subiektywnem, uznający za najświetniejsze wzory produkeyi poetycznej dzieła Poe'go i Dostojewskiego — nie mógł podolać zadaniu obiektywnego zbadania materiałów, dostarczonych przez procesy średnio-wieczne przeciw czarownicom. Przeróżające obrazy oskarżeń fanatyków religijnych ujarzmiły jego imaginację i wzbudziły w nim wiarę w istnienie jakiegoś satanizmu, rzeczywistego kultu złego ducha, według starodawnych ludowych uprzedzeń.

Ale gdy we współczesnem życiu usiłował przedstawić to działanie siły szatańskiej, wykonanie wcale nie odpowiadało założeniom.

Bohaterzy, których sobie wymarzył, to nie jakieś potężne inkarnacye zła, jak Bismark lub Ryszard III, lecz słabe, wykolejone, niezdrowe jednostki, cierpiące na objawy chorób psychicznych, na manię wielkości i na *psychopatia sexualis*. Przy tem są pełne próżności i pozbawione charakteru, jakiegoś wogóle stałego celu dążeń. Idą one po pijanemu przez życie, wahając się ciągle i ulegając zmiennym nastrojom, samolubnie zadawalniając nagle powstające żądze i ciągle przytem rezonując na swe usprawiedliwienie. Według założenia autora, bohaterzy ci mają się odznaczać szczerością, jako „nagie dusze“; tymczasem nie są bynajmniej szczerymi przed samymi sobą, inaczej udawaliby się kolejno na kuracyę do jakiego dobrego psychiatry.

Przytem forma powieści niemieckich Przybyszewskiego wiele pozostawiała do życzenia. Wątek opowiadania bywał przerywany dyskusjami, które w niczem go nie wyjaśniały — szczególnie na temat swobody woli, której autor był zapamiętałym przeciwnikiem. Znać było pisanie na kolanie w bezsennych nocach, a jeden z bohaterów nawet zaleca użycie trunków, które widać w wielu epizodach.

To też powieści niemieckie Przybyszewskiego powodzenia żadnego nie miały. Rozeszły się w kilkuset egzemplarzach, doczekały się kilku

recenzyj, z których najpochlebniejsze ustępy później były uparcie powtarzane w naszej prasie przez przyjaciół autora, by wzbudzić w czytelnikach mniemanie, że Przybyszewski w Niemczech zyskał sławę i uznanie. Tymczasem dzieła te nie przedostały się nawet do wypożyczalni lipskich, a wydawca ich — jakeśmy zaznaczyli — zbankrutował.

Takie szczegóły nie byłyby miarą powodzenia, gdyby chodziło n. p. o dzieło naukowe, lecz rzucają pewne światło na rozpowszechnienie dzieł beletrystycznych. Minęły te czasy, kiedy nawet zdolny autor mógł czekać dziesiątki lat na zasłużone uznanie. — Przy dzisiejszem udoskonaleniu środków komunikacyi, metod księgarskiego rozpowszechniania książek i wydawania ich, nawet ci, co według własnego mniemania piszą dla ciasnego kółka wtajemniczonych, jak n. p. subtelny powieściopisarz Meredith w Anglii lub śmiały innowator dramaturgiczny Hauptmann w Niemczech, bardzo rychło stają się powszechnie znani.

Zapoznany geniusz jest typem bezpowrotnej przeszłości, a prasa i czytelnicy są tak spragnieni nowych wrażeń, że nawet mierny talent bywa pod niebiosą wychwalany, gdy tylko zdoła czemkolwiek zwrócić uwagę. Powieści niemieckie Przybyszewskiego również jak i jego rozprawy sataniczne tej uwagi nie zwróciły, jak zresztą on sam chętnie przyznaje: imię jego w sprawozdaniach z literatury niemieckiej, pisanych dla pism zagranicznych, ani w najnowszych słownikach bio-

graficznych nie figuruje obok takich imion, jak n. p. Hauptmann lub Sudermann.

Okoliczność to małej wagi naturalnie i nie świadczy o wewnętrznej wartości dzieł żadnego autora, lecz nabiera w danym wypadku pewnej społecznej doniosłości, bo gdy w sprzybyszewszczonym Krakowie niektóre osoby odpornie się zachowywały wobec nowego uroku autora *Nad morzem*, chętnie zamykano im usta jego niemiecką sławą. Wszak jest to środek wypróbowany i uznany: kto chce we własnym kraju wbrew prądom panującym pozyskać znaczenie, musi wprzód odznaczyć się u obcych. Więc warto przypomnieć, że sława Przybyszewskiego wbrew przysłowiu dopiero w Krakowie zrobioną została i że pisząc przez kilka lat po niemiecku, nie zdobył sobie takiego rozgłosu jak w Krakowie przez kilka miesięcy.

Jest to zjawisko bardzo godne uwagi, tem bardziej, że nawet niektóre jednostki niezależnego sądu i literackiego wykształcenia dały się porwać urokowi namiętnych Przybyszewskiego utworów, widząc w nich coś nowego i oryginalnego pod względem formy i treści.

Za najlepsze swoje dzieło sam Przybyszewski, zgodnie z większością swych zwolenników, uznaje poemat *Nad morzem*, jedyny zarazem dotąd polski jego utwór oryginalny, wydany oddzielnie; jest to poemat prozą napisany po części nad morzem Północnem w Norwegii, po części nad Atlantykiem w wiosce Mera naprzeciwko Koruni w Ga-

licyi hiszpańskiej, gdzie przebywał dwa miesiące w kółku polskiem tam utworzonym na początku roku 1898.

Kółko to zasługuje tutaj na wzmiankę, gdyż ono wywarło wpływ stanowczy na przerzucenie się poety od literatury niemieckiej do polskiej i na przesiedlenie jego z Berlina do Krakowa. Napróżno wtedy usiłowano go namówić, żeby zastosował swe zdolności literackie w pewnej części do zadań społecznych. Usilnie namawiano go, żeby, jako jedyny prawie dziś zdolniejszy nowelista z Poznańskiego, podjął się artystycznego przedstawienia dobrze mu znanych od dzieciństwa stosunków walki rasowej w tej dzielnicy, dla podtrzymania ducha w walczących.

On takie cele społeczne uważa za nieodpowiednie dla swej sztuki i chętnie twierdzi, że wolałby swych utworów wcale nie wydawać na widok publiczny, tylko je drukować prywatnie, w sposób wykwiatny, dla rozdania najbliższym przyjaciołom. Dochodzi w tem estetycznym pojmowaniu życia do takiej krańcowości, że wogóle nie dba o naród ani społeczeństwo, tylko jest przywiązany do ziemi i krajobrazów rodzimych.

Zapowiedział wówczas w Mera, że napisze coś całkiem innego, niż swe niemieckie powieści, które uznawał za chybione, coś lepszego i więcej idealnego, więcej polskiego — i wydał poemat *Nad morzem*.

II.

Jest to pieśń rozpaczającej miłości; spotkania wymarzonej kochanki, oddania się jej zupełnego i utraty jej tragicznej wskutek nieubłaganych wymagań społecznych naruszonych przez miłość. — Temat nader poetyczny, gdyby go przeprowadzić konsekwentnie i uwydatnić, jaka to jest potęga miłości, pochłaniająca jednostkę całkowicie i wydzielająca ją ze społeczeństwa.

Ta miłość, którą autor ma tu na myśli, nie jest bynajmniej podobna do miłości Słowackiego poczynającej się od wspólnego czytania jakiejś książki, wspólnego podziwiania piękności Szwajcaryi — ani do miłości znanej nam z Przedświt, dającej kochankowi natchnienie do pieśni, — ani do miłości Gustawa w *Dziadach* powstałej na gruncie przyjaźni od dzieciństwa łączącej kochanków wspólnymi upodobaniami, myślami, nadziejami.

Gdy nasi wielcy poeci w swych poematach miłosnych zawsze kładli główny nacisk na wspólność duchową kochanków, wyrażali wstręt do lu-

bieżnej namiętności, poezytywali zmysłowe pokusy za grzech, szukali w czystym uwielbieniu kochanki natchnienia do szlachetnych czynów, i znajdywali w miłości kochanki źródło miłości ku ideałom i bliźnim — autor wykształcony w słynnym dziś z rozpusty Berlinie, wcale nie zna miłości polskich kochanków — tylko wprowadza do naszej poezyi rozpasanie rycerzy niemieckich, zmieszane z chorobliwą romańską namiętnością cielesną, — pozbawioną dziś na pruskim gruncie romańskiej subtelności, skalaną krzyżacką brutalnością.

W swem przedstawieniu miłości wzoruje się na Petroniuszu lub na Parnym — z tą różnicą, że zamiast jak ci romańscy poeci zamknąć się w kole wykwintnego opisu doznawanych i upragnionych wrażeń — szuka dla nich jakiegoś ogólnie wszechświatowego usprawiedliwienia, w czem się ujawnia znowu polska natura.

Parny opisawszy rozkosz inicjacyi zmysłowej w stosunku do kochanki, do niej się jedynie zwraca: *laissons nos tristes censeurs traiter de crime impardonnable le seul baume pour nos douleurs, ce plaisir pur, dont un dieu favorable mit le germe dans tous nos coeurs. Ne crois pas à leur imposture! Leur zèle hypocrite et jaloux fait un outrage à la nature; non, le crime n'est pas si doux!*

U Przybyszewskiego znajdujemy ten sam szereg wyobrażeń, co u poety francuskiego z wyspy Bourbon, który zasłynął jako piewca rozkoszy

zmysłowej na początku tego wieku. I tu i tam nie się nie dowiadujemy o duszy kochanki. Natomiast ciągle powracają takie wyrazy, jak rozkosz, namiętne pożądanie, upojenie; a nawet obłąd i obłąkanie występują jako cechy tej wyczerpującej namiętności cielesnej, w której dusza, myśl i owo spokojne, rzewne, błogie, a trwale uczucie, jakiego się od naszych wielkich wieszczów uczymy — całkiem ustępują z horyzontu poety.

Ulubionymi jego stanami psychicznymi są, prócz rozkoszy i upojenia, jeszcze szal i wściekłość — które razem z poprzednimi określają trafnie jego wyobrażenie miłości.

To też kochanka nie pojmuje wcale swego ukochanego, tylko bywa naprzemian jego niewolnicą lub tyraniczną i kapryśną panią. Jej miłość wyraża się najdosadniej tem, że „jej ręce mocniej go kochały“, jej „ciało płomienniej się przy piersi jego pieniało“. (?)

Może w związku z tą przewagą rozkoszy w miłości Przybyszewskiego jest jego skłonność do używania innych wyrazów, mających z rozkoszą wspólną pierwszą sylabę: rozchwiej, rozczęcz, rozgwar, roztocze, rozbłysk, rozbrzask, rozjęk i t. p. Tak samo dobrze wychowany Hiszpan, gdy czuje pokusę wymówienia wykrzyknika, uchodzącego za nieprzyzwoity, a zaczynającego się od cara, zamiast owego ludowego symbolu rozpasania, używa niewinniejsze *caramba* lub nawet tylko *caracoles*. Także i u nas

niesłusznie zdyskredytowana krew najwierniejszego ze zwierząt domowych bywa w pewnych okolicznościach zmieniana na kość, jako przedmiot bielszy i spokojniejszy.

U Przybyszewskiego namiętna rozkosz, powodująca upojenie, szal i obłąkanie, pociąga za sobą także pewne pomieszanie zmysłów w terminologii jego metafor: słyszy się rozdzźwięk promieni gwiazd w kształt gasnących strun, ręce dyszą, krzyk płonie, dziki kwiat wytrysnął w radosnym krzyku, tańczą rozpasane fanfary światła, krzyczą bezgłośnie błyskawice i t. p. Jednym słowem, granice rozmaitych wrażeń zmysłowych giną i powstaje nietylko *audition colorée*, ale cały szereg innych mieszanych wrażeń dotyku, wzroku i słuchu.

Gdy już nawet jasność pospolitych, zmysłowych wrażeń w burzy obłąkania zagasła, nic dziwnego, że myśl wzbudza odrazę i poeta szuka uczucia, „które się jeszcze myślą nie skalalo“ (str. 12 „Nad morzem“).

Po za tem, jak zwykle w każdym upojeniu, czy to alkoholicznym, czy lubieżnym, występuje ukochna niczem nieokiełznana megalomania, jeden z najzwyczajniejszych objawów obłąkania. Śni mu się, że był królem państwa bezkresnego, że miał potęgę bez granic, że się grzał w blasku, jaki jego królewska korona roztaczała od jednego bieguna ziemi do drugiego, że na rozkaz jego wszystkie lo-

dowce ziemi staczały olbrzymie głazy lodu, że był sercem wszechświata, jego tętnem i karmią, że był mądrą opatrznoscia, co przygotowała łono matczyne dla nasienia wszechżycia, że był bogiem i t. d. Rozmaite przenośnie mają przedstawić marzenia niczem nieokielzanej ambicyi, pobudzonej przez drapieżną chuć zupełnego opanowania kochanką, odgrażającą się z największem okrucieństwem przeciwko wszystkiemu, co tej rozpasanej żądzy mogliby przeszkodzić.

Jak Salomon — szuka swej kochanki i nie może jej znaleźć, spotyka ją i traci, aż nareszcie powtarza wykrzyknik Salomona o próżności tego świata: „Lat sto, a wszystko się prześni“. Jakkolwiek na zakończenie dodaje: „miłość moja zostanie“ i twierdzi, że „*pije* swoje wielkie tajemne szczęście“ — to czytelnik z całego szeregu obrazów tych i wykrzykników musi wynieść wrażenie, że to, co tutaj jest czczonem pod mianem miłości — jest jakąś ciężką zmorą, jakąś samolubną zbrodnią, wydającą gorzkie owoce. To jest ślepa żądza rozkoszy zwierzęcej, opiewana przez Salomona, prowadząca do zwątpienia i rozpacz.

Autor w swem pojęciu miłości cofa się wstecz o parę tysięcy lat, i nie zna wcale ani średnio-wiecznej miłości Tristana, ani nowożytnej miłości Shelleya lub Browninga, ani polskiej subtelnej miłości Mickiewicza lub Krasińskiego, tych uczuć, które duszę podnoszą i wzmacniają, a je-

dnak zarazem wzbudzają w niej dziwną pokorę, błogie zapomnienie o sobie. U niego wyrazem najwyższej miłości jest krzyk kochanki: „weź, przytul, zabij“ — a krzyk ten jest wywołany zaspokojeniem jej bezmyślnego, swawolnego i samolubnego kaprysu.

Źle się nadaje polski język do wyrażania takich szalów. Jeszcze niemieckie *Liebe* lub francuskie *amour* może oznaczać namiętne zmysłowe rozpasanie. U nas miłość i kochanie całkiem inne wywołują obrazy. Nie zastąpi nam „Nad morzem“ ani „W Szwajcaryi“, ani „Przedświtu“, ani IVej części „Dziadów“. Możemy co najwyżej uważać ten poemat za owoc chybionego usiłowania, by polskiej literaturze przyswoić pewne wschodnie lub południowe obłąkania, nam wielce obce. Nie wzruszą nas takie obrazy, jak: twarz tak jasna, jak twarz dziewicy konającej w upojeniu miłosnem, bo dla nas dziewica nie potrzebuje konać ani doznawać upojenia, by stać się źródłem szczęścia i natchnienia dla wybranego kochanka.

Te szaly i upojenia, które przeważnie opisuje Przybyszewski, wprawdzie i w naszym życiu odgrywają pewną rolę, ale gdy miną, raczej wstydzimy się ich, niżbyśmy mieli upatrywać w nich objawy potęgi rządzącej życiem. A kochankowie nasi raczej klękają u stóp kochanki, niż pragną uczynić z niej niewolnicę. Pogląd na miłość Przybyszewskiego jest właściwy wielu poetom wschodnim, a w Europie szczególnie romańskim.

Ale kto zna zarówno tę żądzę fizyczną, jak i ten inny gatunek miłości, w której pociąg wzajemny dusz przeważa nad rozkoszą cielesną, ten nie będzie się wahał w orzeczeniu, co wyższe i lepsze? Żądza jest nam wspólna ze zwierzętami — miłość dusz przypisujemy aniołom. Kto w kochance widział anioła, nie będzie w niej przedewszystkiem szukał samicy, choć i w aniele odczuje przeciwieństwo płci, powiększające urok podobieństwa uczuć.

Pewną też niekonsekwencyę popelnia Przybyszewski, gdy do czysto zmysłowej erotyki mięsza dwa pierwiastki prawdziwej miłości: podobieństwo kochanków i wyłączość ich związku. Jest to ustępstwo, zrobione nowożytnym uczuciom, odstępstwo od wzorów Petroniusza i Salomona.

Gdy jedynie chodzi o uściski, namiętne pocałunki, wzajemne pochłanianie ciał — to niema potrzeby szukać uparcie wybranej jedynej jakiejś kochanki. Pijacy lubią rozmaitość trunków, rozpustnicy szukają coraz to innych ofiar.

Wyłączość w miłości dopiero włada, gdy się dusze kochają, gdy powab wiążący je nie wytwarza się z piany rozwścieczonych szalonym upojeniem ust, lecz ze wspomnień tego, co usta owe szeptały w chwilach najjaśniejszej świadomości swego bytu, gdy kochankowie nie czuli potrzeby innej pieśczozy niż trzymanie się za ręce, patrząc na uroczy krajobraz lub czytając wspólnie ulubionego poetę, łączącego ich dusze w świetcie idealnym, lepszym niż rzeczywistość. W takich

stosunkach kochankowie bywają dla siebie wzajemnie jedyni, bo niewyczerpane bogactwo duszy tworzy coraz to nowe nici, wiążące ich na zawsze, nici, których ani natura, ani ludzkie otoczenie, ani rozłąka, ani śmierć nawet przerwać nie może. — Każda taka nitka, to jakieś szlachetne podobieństwo, którego kochałek próżnoby w kim innym niż w swojej kochance szukał.

W poemacie *Nad morzem* słowa niema o duchowej wspólności kochanków. I owszem, są oni we wszystkim przedstawieni jako całkiem różni, i czysto zewnętrznie tłumaczy autor sobie i czytelnikom ich wzajemne pożądanie jakąś pierwotną ich wspólnością zapomnianą i niejasno wspomnianą — odległą jednością w prątonie, gdy razem *pili* wieczność!

Wogóle autor nie dba weale o jasność swych metafor — i oczywiście nie uważa weale za potrzebne, by każde zdanie miało jakiś zrozumiały sens. Często rzuca wyrazami jak kuglarz, zmuszając czytelnika do nagłych skoków, przy których dźwięki płynnych a długich zdań po sobie następując w okresach bez pauzy — nie pozostawiają czasu do namysłu: co właściwie owe dźwięki znaczą? Ci, co wychwalają *Nad morzem* jako arcydzieło, widocznie ulegli temu czarowi dźwięków próżnych i wchłaniając je w siebie, doszli do pożądanego bezkrytycznego upojenia. Bo wszak tylko dźwiękiem jest takie zdanie jak: „byłaś tak cichą i bladą, jak oddech nocy letniej, gdy mięką rozkoszą kwitnącego bzu w rosie się rozply-

wa.“ Tu nie chodzi wcale o przedstawienie czegoś, co się działo lub dziać mogło — tylko po prostu o nagromadzenie w formie zdania gramatycznie zbudowanego szeregu wyobrażeń. Możeby ten sam skutek miał inny szyk tych wyrazów, byle tylko czytelnik z kolei przyjął wyobrażenia cichości, bladej nocy letniej, miękkiej rozkoszy, kwitnącego bzu etc. N. p.: „byłaś tak wonną i rozkoszną jak blade kwiaty bzu w cichej nocy letniej, pociągający ku sobie z gwiazdzistego nieba miękka i lotna rosa...”

Jeszcze dopóki autor porusza się w sferze wrażeń zmysłowych, choć je miesza i zamienia jedno na drugie, mniej razi, niż gdy czasem wyjątkowo pozwoli sobie na metaforę, wziętą ze sfery uczuć i myśli. Bo cóż powie czytelnik wierzący, gdy w tym pogańskim hymnie na cześć rozkoszy nagle natrafi na takie porównanie: „byłaś piękną i czystą i jasną jak dusza dziecka, w której się święta ofiara chrztu dopełniła“! — Zaraz potem następuje taka modlitwa do Szatana: „pozwól, że raz jeszcze uczuję tę rozkosz nad wszelkie rozkosze, jak pierś jej się w moją wpala, jak usta jej się w moje wpijają, jak ręce jej dyszą na mej szyi w bolesnym upojeniu.“

Cała budowa poematu tyleż pozostawia domysłom czytelnika, co i pojedyncze jego zdania. Zaczyna się bez żadnego wyjaśnienia od dzikich snów zrozpaczonego kochanka, któremu się wydaje, że był potężnym królem gdzieś na Południu

i poznał swą kochankę, jako niewolnicę, przywiezioną mu z dalekiej Północy — że dla jej przyjemności wyczerpał bogactwa swego państwa i przeklął swego Boga, wskutek czego dopiero pozyskał jej miłość. Ale Bóg-Słońce się zemścił, niszcząc ludy owego władcy — i wtedy kochanek pomimo całej swej urojonej potęgi patrzy skamieniały na ofiarę swej kochanki, poświęcającej się mściwemu bóstwu na żądanie prześladowanego ludu. Monarcha mści się znowu nad swym ludem i wybiera się do północnej ojczyzny swej kochanki.

W następnej pieśni znowu inne obrazy dręczą imaginację kochanka. Był on więcej jeszcze, niż królem — Bogiem — i stworzył swą kochankę. Ona tęskniła do swego twórcy, on jej szukał i znaleźć jej nie mógł, choć siedziała obok niego na tronie niebieskim! (str. 35). Potem już w nieładzie przesuwają się inne widzenia, aż nareszcie poeta się budzi i przypomina sobie szarą rzeczywistość, która mu dała wątek do tylu marzeń.

Prostu jechał prozaicznie jakimś parowcem i rozglądając się wśród pasażerów, grających w karty, spotkał nagle oczy i ręce nieznaney przedtem towarzyszki podróży. Na przystani wysiadła i znikła mu z oczu. Szukał jej wśród gór nad morzem i wkrótce się przekonali, że parne sploty ciał nie wystarczają dla wypełnienia życia. Ich miłość, jak nagle powstała, tak bez przyczyny zaczęła gasnąć — aż kochanka z rozpaczy utopiła się.

Niewątpliwie autor lepiej osiągnąłby swój cel, gdyby do końca pozostał niejasnym i nie dał wrogom swym tego prozaicznego wytłómaczenia swej miłości. Sam ją odarł z wszelkiego uroku, pragnąc widocznie być aż nadto szczerym. Sam podał czytelnikowi najbliższe wyjaśnienie sprzeczności, nagromadzonych w pierwszej części poematu: namiętność zmysłowa nie daje szczęścia ani zadowolenia trwałego — po upojeniu następuje wytrzeźwienie i próżny żal. Można by zatem „Nad morzem“ zalecić jako moralną bajkę dla dorosłych dzieci, nie pozbawioną nawet budującej nauki moralnej w zakończeniu. A że autor inaczej widocznie sądzi, to stanowi mimowolny humor jego utworów. Porywa się w nich zawsze z motyką na słońce, a potem upada znużony w cieniu i odpoczywa.

III.

Waryantem poematu: *Nad morzem* jest fragment wydany osobno p. t.: *Z cyklu Wigilii*. Tutaj mamy więcej prozy i jeszcze moralniejsze zakończenie. Trzeba fabułę koniecznie odrzeć z całej puszystej frazeologii, aby uwydatnić tą mimowolną moralną tendencją Satanisty.

Tutaj kochanka nie umiera, nie ginie tragicznie, tylko zgodnie ze starożytnymi tradycjami staje się niewierną swemu zmysłowemu kochankowi, pod wpływem innego na pozór mniej brutalnego wielbiciela.

Kochali się tak samo pierwsi kochankowie, jak w *Nad morzem*. — Także wydawała mu się kochanka odwieczną, a węże jej oczu oplotły spokojne głębie jego serca w nęcących pieśczętach, tarły się o nie lubieżną rozkoszą i kładły się w jego namiętym żarze do snu! Takie silne wrażenia, nawet jeśli się wydają odwiecznymi, wiecznie trwać nie mogą. Choć kochanek znowu w swej niemocy mieni się królem, który opanował wszechbyty, nie

może jednak utrzymać przy sobie swej kochanki, ani sam wystarczyć jej duszy. Razu jednego zaprosił poetę obcego, piszącego tak, jak sam autor, gdyż (jak nam wyraźnie mówi str. 21) nie można było rozumieć sensu pojedynczych zdań — tylko odczuwało się bolesny a straszny pokład uczucia, ogólny nastrój spleciony z błyskawic i wyjących burz. Poeta deklamował z nieprzepartą siłą i wolą. Ona grała na fortepianie silnie i namiętnie. Dźwięk i słowo splotły się tak dalece, że gra i deklamacya wydały się biernemu i wyczerpanemu rozpustą kochankowi „orgią rozpasanych zmysłów, pełną krzyku boleści i żądzy, cheiwą krwi iciała.“ A że wszyscy troje byli pijani, więc bezmyślnie kochanek kazał swej uległej kochance pocałować przyjaciela, co ona bardzo chętnie uczyniła. Na domiar złego, pijany kochanek wyszedł z pokoju i zostawił kochankę sam na sam z poetą. Gdy wrócił, poeta naturalnie „całował jej stopy i był szczęśliwy.“ Kochanek zaś nie znalazł innej rady na to, jak „zapalenie papierosa.“ Takie prozaiczne czyny zdarzają się w tragicznych chwilach, — ale na cóż o nich wspominać w poemacie? Palenie papierosa wcale nie otrzewiło nieszczęśliwego kochanka, gdyż opowiada nam otwarcie, że słuchając dalej deklamacyi poety i gry swej kochanki, usnął. Dopiero nazajutrz zrobił gwałtowną scenę swej kochance, i wygnał ją z domu swego, choć ona we łzach mu zarę-

czala, że go kocha, pomimo lekkiej niewierności dnia poprzedniego. To przypomina scenę z Musset'a *Confessions d'un enfant du siècle*, gdy bezwstydnym przyjaciel poety posyła mu swą kochankę, a ta z miłości i psiej uległości spełnia nie-ludzki rozkaz swego kochanka, gotowa będąc oddać się na jego życzenie obcemu człowiekowi.

Przybyszewski zabarwia tragiczną tę scenę mimowolnym swym humorem, który go w takich chwilach nigdy nie opuszcza. Bo kochanek, wyganiający kochankę za to, że na jego rozkaz pocałowała przyjaciela, krzyczy, że jest człowiekiem niezwykle szlachetnym — i radzi przytem swej kochance, by uciekała czemprędzej.

Zjawia się tu jeszcze nowy element, którego nie było w *Nad morzem*. Kochankowie mieli syna i syna tego zachowuje przy sobie ojciec, wypychając bez litości matkę za drzwi swego domu. Potem następują nieuniknione wizye, godne alkoholika: jego serce staje się hostyą — kochanka zaś kapłanem, podnoszącym w miękkich rękach (!) ową hostyę nad snopy złotych zbóż, aż drgające i krwawiące się serce wzbije się w niebo. Wtedy drży świat, kornie kładą się pola, rozbrzmiewa las — wszystko wokół zatacza *pijane* kręgi. Następują rozmaite inne podobne obrazy, w których odpowiednią ilość razy używa autor takich wyrażań, jak: rozkosz, król, obłąd, rozszałała moc, upojenie, drganie ciszy, dzi-

wnie poplątane kształty i linie, oddech i woń, lubieżne usta, prałono, bolesny śpiew, parne spowicie ciał i t. d.

Kochanek rozpacza i tęskni, przypomina sobie różne szczegóły z przeszłości, patrzy na swego jasnego syna jak się bawi z białym królikiem, przyczem bólem śmieje się jego drobna twarz, próbuje pracować, wychodzi na ulicę, gdzie widzi pijanego robotnika, rozpryskującego kijem błoto, i znowu wpada w obłąkanie, wyobrażając sobie, że stał się swą kochanką, a ona nim. Na zakończenie zwraca się do swego jasnego syna i jego białego królika i mianuje siebie z tymi dwoma towarzyszami trójcą biednych, nędznych robaków.

Bajeczka się kończy zatem bardzo moralnie — pyszny zbrodniarz ukarany za swe upojenia, pokutuje i korzy się przed potęgą poniewieranego przezeń Boga, co mu przy istotnie dziecięcej niewności nie przeszkadza deklamować na temat wszechpotęgi lubieżnych zachcianek. W takiej niekonsekwencji widać uśpienie zmysłu krytycznego pod wpływem zbyt częstych upojeń. !!

IV.

Jakby komentarz do nowszych bajek swych poetycznych, wydał Przybyszewski tłumaczenie dawniejszego dzieła p. t.: *Dzieci szatana*. Zepsuty uznaniem Krakowian, dał im dowód najwyższego lekceważenia, bo uznał czytelników za tak mało zdolnych do krytyki, że nie zadał sobie pracy przerobienia lub przynajmniej własnego tłumaczenia swego niemieckiego utworu. *Dzieci szatana*, to nieudolne tłumaczenie z niemieckiego dokonane, bez udziału autora, za jego zezwoleniem, przez usługnych przyjaciół. Znać to na każdej stronnicy. Tu szara przędza nie jest powleczone złotą nitką tych śmiałych zwrotów, które w *Nad morzem*, jeśli nie zachwyciły, to przynajmniej bawić mogły czytelnika. Pogląd na świat autora, pozbawiony świeżości poetycznych ozdób, ukazuje się w całej swej nagości bezrozumnej, bo wszak potępienie myśli i rozumu i poniżenie ich wobec upojenia i szału — to są zasadnicze cechy Przybyszewszczyzny.

Więc o ile po usunięciu rozumu jeszcze może pozostawać coś, co na miano poglądu na świat zasługuje, to usposobienie, z jakim autor patrzy na życie, da się wyrazić w tej formule: istnieje Szatan, nęcący ludzi, by mozolne drogi enoty i obowiązku opuścili dla miękkich kobierców lubieżnych rozkoszy i malowniczych przepaści zbrodni. Ten Szatan umie wiernym swym dzieciom dać szczęście wprawdzie znikome, ale silniejsze, niż wszelkie moralne zadowolenie. Więc dzieci Szatana, choć cierpią, wybierają jednak najlepszą z możliwych dróg, szalejąc w upojeniu aż do obłędu.

Byłoby i to nawet niezłym tematem do wspaniałego poematu dla Byrona lub Shelleya, lecz autor nasz psuje wszystko nadzwyczajną prozaicznością i brakiem wszelkiego artystycznego obrobienia.

Osoby, które nam przedstawia jako dzieci Szatana, są to w istocie biedne chore ofiary cięższych form newrozy, dochodzącej do histeryi. Nawet scena działania jest niegodną Szatana. W jakimś małym miasteczku, liczącem zaledwie dziesięć tysięcy ludności, — kilka osób, bliskich pomieszaniam zmysłów, urządza spisek, z celem podpalenia kilku domów i zrabowania kasy miejskiej, zawierającej kilkadziesiąt tysięcy marek!

Naczelnik spiskowców, Gordon, jest najpospolitszym rzezimieszkiem, z tych, których setki znamy z francuskich powieści Gaboriau, Ponson du Terrail itp. Autor ułatwia mu działanie pod wszelkim względem. Robi go najprzód siostrzeńcem burmistrza, by bezkarniej mógł spiskować. Daje mu za pomocnika

Ostapa, który znowu jest synem kasyera miejskiego. Jakby nie dość było tyłu związków krwi zbrodniarzy z urzędnikami, przyłącza się do pierwszych jakiś Wroński (co za znęcanie się nad nazwiskiem filozofa!), zdolnypisarz — i Hartmann, inżynier w fabryce, która ma być spalona. Do pomocy mają ci czterej główni spiskowcy jeszcze młodego Franka, rozlepiającego odezwy, napisane przez Wrońskiego — i Okonka, robotnika fabrycznego, który podpala fabrykę, gdzie ma stały zarobek i za tę usługę jest zamordowany przez Gordona.

Jakby taki sztab nie wystarczał, przyjeżdża jeszcze „prosto z Londynu“ jakiś tajemniczy anarchista Botko, który udział swój ogranicza do tego, że nad Gordonem „potrzasał głową“ (str. 94), z Wrońskim rozmawiał przyjaźnie o podpaleniu ratusza, z innymi spiskowcami o ich poszczególnych zadaniach, a w końcu pilnował pożaru *incognito*, aż wszystko spłonęło. Także dopilnował Ostapa, gdy ten się wieszał i pomógł Gordonowi wynieść trupa do stodoły. Na pożegnanie Gordon zwierza się Botce, że lekcważy sobie komitet centralny, którego Botko jakoby miał być delegatem. Jest to jedyna wzmianka, usiłująca nadać małomiejskiej farsie jakieś tło wszechświatowe; Botko twierdzi, że nadal obierze sobie za specjalność palenie ratuszy. Powieść się kończy na zapowiedzi Gordona, że spali własną stodołę, by ukryć trupa Ostapa i rozpocząć jakieś nowe dzieło.

Szumna ta zapowiedź, po rozmowie Gordona z Botką, z której się okazuje, że siostrzeniec bur-

mistrza jest ślepem i uległym narzędziem tajemniczego cudzoziemca, musi rozśmieszyć czytelnika. Ale bohaterowie na trzystu stronnicach powieści piją tyle trunków, że nie można od nich wymagać jasności myśli ani konsekwencji czynów. — Wreszcie tutaj, tak samo, jak w *Nad morzem*, cała historia zniszczenia przez ogień jest tylko zewnętrzną ramką dla ulubionego tematu autora, gwałtownej siły płciowej pożądlivosti. Gordon kochał Helę, ale ją opuścił, gdy zaczął ją podejrywać o jakiś dawniejszy stosunek. Jednak żąda od niej, by odepchnęła Ostapa, który szaleje z miłości ku niej. Sam zaś, aby zapomnieć o Heli, uwdzi czy też gwałci Polę, siostrę Wrońskiego, wskutek czego ta ostatnia umiera. To są motywy, często powracające w pismach Przybyszewskiego, nużące swą monotonością. O prawdopodobieństwo faktów, przez się wymyślanych, autor wcale się nie troszczy. Gordon odwiedza w nocy Helę, córkę lekarza w małym miasteczku, przyjmowaną na zebraniach u burmistrza, i trzykrotnie na pożegnanie dowcipkuje na temat skompromitowania jej tą nocną wizytą. Ten sam Gordon, który bez żadnej wskazanej przyczyny jest czczony i wielbiony przez swych pomocników, przy lada okazji „blednie jak trup,” choć stale pija wszystkie trunki w znacznych ilościach. — Jest mnóstwo takich szczegółów, świadczących o bardzo pospiesznem pisaniu powieści. Pojedyncze ustępy w takim nieładzie następują po sobie, jak majaczenia senne bohatera *Nad morzem*.

V.

Gdy bezstronnie obejmiemy okiem te preten-
syonalne bardzo przejawy jakiejś rzekomo „nowej“
literatury, powtarzającej bez kunsztu stare, okle-
pane motywa w sposób wyzywający i zarazem
naiwny — powstaje pytanie, jakim sposobem au-
tor erotyczny, pozbawiony powodzenia w rozpa-
sanym Berlinie, mógł na czas jakiś olśnić cnotli-
wy Kraków? Nie wystarczy tu powołać się na to,
że Kraków jest bardzo małą a Berlin bardzo du-
żą stolicą. A jednak i ta różnica miała tu pewne
znaczenie. Przybyszewski znacznie lepiej mówi,
niż pisze, a według zdania znawców jeszcze le-
piej gra na fortepianie, niż mówi. Takie osobiste
zalety łatwiej dać poznać w małej, niż w wiel-
kiej stolicy.

Jednak to są drobne względy. Muszą być głę-
bsze powody krótkotrwałego lecz niezaprzeczonego
powodzenia Przybyszewskiego w pobożnym gro-
dzie Krakusa. Nie starczy też tłumaczenie, że de-
wotki najłatwiej pałają sympatją ku rozpustnikom,
podczas gdy hetery tęsknią do czystych młodzień-

ców. — Są istotnie poważniejsze społeczne przyczyny, dla których na czas krótki Galicya mogła się upajać plodami dzikiego berlińskiego erotyzmu. O tych przyczynach umiałby może nam coś powiedzieć p. Szczepanowski, który tak dokładnie zbadał nędzę tej największą autonomią cieszącej się dzielnicy Polski. Nędza wszędzie, jak wiadomo, jest spokrewniona z pijaństwem, a pijaństwo wiedzie do upojeń, szalów i nadużyć. Więc poeta, który śmiało i szczerze działa na korzyść właścicieli propinacyj, właśnie teraz w Krakowie mógł wzbudzić zaciekawienie.

Ale najważniejszej przyczyny tego powodzenia antyrozumowej kampanii — nie wolno jest filozofowi palcem wskazać bez narażenia się na posądzenie o zarozumiałość lub o lekceważenie kolegów po fachu. Może wystarczy przypomnieć, że tam, gdzie brak jest prawdziwej filozofii, głębokich a niewzruszonych przekonań etycznych, często występowała pozorna mądrość życiowa, nawołująca do używania i do nadużycia rozkoszy. Francya XVIII wieku razem z Parnym miała sceptyka Voltaire'a — zaś Rzym Petroniusza wkrótce nastąpił po Rzymie Lukrecyusza. Natomiast w cieniu Kanta lub Kartezjusza nie wyrastali lekkomyślni czciciele rozkoszy.

Od śmierci Wrońskiego, Kremera, Gołuchowskiego, Cieszkowskiego, nie mieliśmy żadnego potężnego wyraziciela naszej myśli narodowej, a nad katedrami polskimi filozofii dziwne zawisło przeznaczenie. Tymczasem młodzież łaknie jako

chleba powszedniego, jakiegoś zrozumienia życia, filozofii niezależnej od tradycyi. Więc musi być wielu falszywych proroków, a może do nich będzie zaliczony i piszący te słowa, choć niema siły ani ambicyi bynajmniej wypełnienia braku tak dotkliwie odczuwanego.

Dopiero gdy zjawi się godny następca naszych wieszczów, co zdoła połączyć z gruntowną i rozległą wiedzą potęgę samodzielnej myśli, niezmordowaną wytrwałność i zaparcie się siebie w szerzeniu rzeczywistej prawdy, niewzruszoną obojętność na gromy falszywych proroków, niezniszczalne zdrowie, aby podolać tylu nań oczekującym zadaniom: dopiero gdy taki mąż wystąpi wśród nas, jako prawdziwy mistrz i nauczyciel — dopiero wtedy pierzchną chorobliwe sny dzisiejszych naszych dekadentów a wszędzie jutrzeńka istotnie twórczej pracy nad odbudowaniem starego i pięknego gmachu zewsząd zagrożonego. Wtedy na zaklęcie potężnego ducha stanie ten gmach piękniejszy, niż kiedykolwiek i da bezpieczne schronienie zbłąkanym i rozproszonym potomkom jego pierwszych założycieli; będzie świętym przybytkiem naszej źle rozumianej, sponiewieranej i obmawianej złotej wolności — braterskiej miłości, zapewniającej każdemu swobodę bez ucisku innych...

Wybaczenie czytelnicy! Po przeczytaniu tylu chorobliwych majaceń zaraziłem się sennością i zacząłem głośno śnić na wzór krytykowanego przezemnie autora. Aby nie szerzyć przykładu

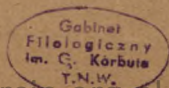
złego, otrzeźwiam się i z całej duszy życzę autorowi *Nad morzem*, by się uwolnił od swych dotychczasowych snów, by spożytkował piękny talent (którego śladów nie zacierają dotąd cały szereg upojeń) dla wdzięczniejszych celów niż propaganda Satanizmu. Ten cały Satanizm nigdzie nie istnieje i nie istniał, prócz w marzeniach wywołanych trunkiem. Życie ma natomiast pełno cudownych obrazów czekających na potęgę artysty, umięjącego je utrwalić. Jeśli Tetmajer obok *Anioła śmierci* umiał stworzyć *Księdza Piotra*, to nie trzeba tracić nadziei, że i Przybyszewski, jeśli zechce się naprawdę otrzeźwić, wzniesie się wysoko nad te morza, po których dotychczas pływał...

Co daj Boże, amen!

Biblioteka Seminarium
Hist. Lit. Polskiej U. J. P.

8126

K. 13326



K
13326

Inne pisma W. Lutosławskiego:

1. **Das Gesetz der Beschleunigung der Esterbildung, Beitrag zur chemischen Dynamik**, Halle 1885.
2. **Erhaltung und Untergang der Staatsverfassungen, nach Plato, Aristoteles und Machiavelli**, Breslau 1888.
3. **O logice Platona Część I.**, Kraków, nakładem Akademii, 1891.
4. **O logice Platona Część II.**, Warszawa, Wende i Sp. 1891.
5. **O pierwszych trzech retralogiach dzieł Platona**, Kraków, nakładem Akademii, 1896.
6. **The Origin and Growth of Plato's Logic, with an account of Plato's style and of the chronology of his writings**, London, Longmans Green and Co. 1897.
7. **Principes de stylométrie**, Paris, Ernest Leroux, 1898.
8. **Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung**, Helsingfors 1899.
9. **Seelenmacht, Abriss einer zeitgemässen Weltanschauung**, Leipzig, W. Engelmann, 1899.
10. **Platon jako twórca idealizmu i socyalizmu**, Warszawa, nakładem Przeglądu Filozoficznego 1899.
11. **Źródła pesymizmu**, Kraków, nakładem S. A. Krzyżanowskiego 1899.
12. **Bańki mydlane**, Kraków, nakładem S. A. Krzyżanowskiego 1899.

